

Pożar w borze

Historia ta wydarzyła się w nie największej miejscowości nieopodal Wyszkowa. Można by rzec, że była to całkiem nieduża miejscowość, w której zarówno z lewa, jak i z prawa nie bardzo szerokiej dróżki rosły krzewy jeżyn i drzewa jarzębinowe. Już wkrótce miały być też tam posadzone rzędy tui. Gdzieniegdzie nad łąkami przyprószonymi kwiatami chabrów i kākoli dało się dostrzec fruujące jaskółki i jerzyki. W ogóle natomiast nie było gżegżólek ani kszyków, choćby nie wiem jak wyteżać wzrok. Wszystko razem stwarzało bardzo harmonijny, sielski obraz. Henryk po prostu stał urzeczony tym widokiem i wszystko poza tym uważał za błahe i nieważne. Jego poharatana dusza odpoczywała. Naraz dał się słyszeć ohydny dźwięk. Na razie nic nie wróżyło niczego złego, krajobraz pozornie się nie zmienił. Henryk rozejrzał się dookoła. Dostrzegł, że w poprzek pola podąża człowiek z piłą. Ten hultaj za wszelką cenę chciał zburzyć panujący wokół spokój. Dopiero ponieważ Henryk zrozumiał, że człowiek ów czyha na przepiękne hiacynty rosnące pod lasem. Henryk zamachał do niego ręką. Hultaj wprawdzie najpierw przystanął zażenowany, ale już w następnej chwili zaczął chyżo uciekać przez przerzedzony las, i przeskakując nieszeroki wprawdzie strumyczek, zniknął z pola widzenia Henryka. Dokoła znów zapanowała cisza. Na tle bezchmurnego nieba pojawiły się najpierw białe obłoki, później szarzące chmurki, aż wreszcie niebo zrobiło się kompletnie czarne. Nagle silny podmuch wichury zaczął unosić tumany kurzu. Wtem grzmot przeszył powietrze, gdzieś uderzył piorun, który wypłoszył krążące przydrożne ptactwo. Dało się słyszeć trzask łamanego drzewa. Wybuchł pożar, który zaczął trawić niezbyt dużą brzezinę. Henryk patrzył z niedowierzaniem, był zszokowany tym, jak niepostrzeżenie nastąpiła przemiana. W myślach hołubił jeszcze niegdysiejszy sielski obrazek. Zagrożenie było poważne. Żywioł zdawał się być niepohamowany. Huragan wzmaczał się i mogłoby się wydawać, że już nic nie powstrzyma pożogi. Henryk na wpół przysłonił dłonią oczy, bo żar bił od palących się żywym płomieniem drzew. Pomyślał o tym, żeby rzucić się na ratunek albo wezwać kogoś na pomoc. W jednej chwili ciężkie krople dżdżu zrosiły ziemię, w następnej potężna ulewa z ogromnym natężeniem, hucząc potwornie, runęła na płonący bór. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, sama natura przybyła na ratunek. W serce Henryka wstąpiła otucha, jednak ten widok zapamięta po wsze czasy.